Rozmaitości

Dnia 22. Października — Nr 43. — 1836 Roku.

KAPITALIK.

POWIESĆ Z CZASÓW JANA III.

r. 1690.

I.

Okolicą górzystą ziemi Sandeckiéj, drogą, jakto mówią z kamienia na kamień, jechało podróżnych kilku na koniach. Z miny i odzienia poznałbyś, że dwaj piérwsi panowie — dwaj za nimi słudzy. Droga pięła się w górę wysoką i stromą. Konie pod sługami, obładowane ciężkiemi juki, sapały głośno, i łbem kołysały jak rabiny nad talmudem; rumaki zaś panów zgrabną nóżką stąpając po kamieniach, w uciążliwym nawet pochodzie nie traciły lekkości i owéj gracyi, koniom szlachetnego rodu właściwéj. Panowie gadali sobie, sługi sobie. Droga, wybiegłszy na góry wierzchołek łysy i otwarty, spadała znowu w las gęsty. Podróżni, wyjechawszy na górę, wstrzymali konie.

»Patrzno, mój stryjaszku, jaka okolica, jaka okolica!« zawołał młodszy podróżny.

»*Satanus eam habet!*« odrzekł pan Rawa, stryj, a razem opiekun małoletniego towarzysza. »To tu ptakom latać po takich górach i wertepach, a nie ludziom jezdzić! *Ego sibi laudo* wielko-polskie równiny; to mi okolica, na mil kilkanaście obaczyłbyś mogiłę na polu. Okropne górzysko! że toż i tutaj mieszkają ludzie?... ktoby się był spodział!«

»Mieszkają mój stryjaszku, mieszkają; a wié stryjaszek, kto mieszka tam, tam?«

»Widzę, zamczysko jakieś ogromne śród lasów; czyto skarbnika dworzec?«

»Jako żywo! to zamek Domarada starosty; zna go stryjaszek, zna — ten łysy, garbaty starosta; ale co nam do niego... Niechno stryjaszek spojrzy na prawo w dolinę; widzi stryjaszek ten dworek, co się bieli tam w dolinie, nad tą wodą... to staw, mój stryjaszku; o, gdybym już tam był!«

»Gdzie chesz być, gdzie? w tym stawie? świta waści w głowie...«

»Ależbo stryjaszek nic nie wié, *mea culpa* zgrzészyłem, bom skłamał; szkaradnym sposobem oszukałem stryjaszka; oj, będzie się teżto gniewał, będzie...«

»Hm, hm,« pomruknął pan Rawa, »jakiegoś figla spłatał znowu?«

»Spłatałem, bom wyprowadził pana stryja w pole; walnie mi się udało. Już teraz stryjaszek musi tam jechać, gdzie go poprowadzę, musi; Święty Boże nie pomoże.«

»Cóżto wasze gadasz? *quid hoc habet dicere?*... do stu Tatarów! przecież wiém, gdzie jadę.«

»Jak Boga kocham, stryjaszek nie wié, bo stryjaszek myśli, że my jedziemy do pana skarbnika, aby ulokować ten kapitalik, który mi legował testamentem kanonik krakowski.

»Jużci nie do kogo innego, jeno do pana skarbnika; bo po kiegoż Tatara jechałbym tak daleko... Ja, co mam tyle na głowie: trzy opieki, dwie administracyje, jeden *compromis*, krom własnych interesów bez liku. Jeszcze drogami takiemi, takiemi góry, nogaby tu moja nie postała, gdyby nie ten waścin interes ważny; bo tu chodzi o to, ażeby kapitał nie próżnował i procent swój przyniósł, jak się patrzy. Ależ w tych ciężkich czasach dawaj i proś, nikt pieniędzy przyjąć nie chce; szczęściem, żem się wywiedział o panu skarbniku; był ojca twojego dobrodziejem, będzie i twoim... mam nadzieję, że przyjmie summkę, bo jakem waści namieniał, mówiłem z *omnipotentem* jego o tém, i przyrzekł. *Ergo* do

pana skarbnika jedziem, i spodziewam się, że waść prowadzisz mię dobrze, boś świadom tych okolic, jak długo żyję, nie byłem w tych stronach; *Deus me avertat.*«

»Oj, źle będzie ze mną,« przemówił Jan, »pan stryj w kwaśnym dzisiaj humorze; a cóż dopiéro, skoro mu powiém otwarcie...«

»Gadajże, do sto Tatarów! co masz powiédziéć; *quid hoc habet significare?*«

»Otóżto znaczyć ma, że mnie ani w głowie ulokowanie kapitału.«

»Więc *per consequentiam* w głowie pusto — i pstro...«

»Być może, mój stryju; ale tu, w sercu...«

»W sercu? hm... powinna być wdzięczność dla stryja opiekuna, który własne zaniedbuje sprawy, forytując waścine.«

»Największa wdzięczność; ale ta największa jeszcze się powiększy, jeźli kochany stryjaszek nie będzie szczędził tego kawałeczka drogi, i pojedzie ze mną do tego dworu w dolinie.«

»Wszakżeto pana skarbnika dworzec; do sto Tatarów! przecież do niegom się wybrał; ażebym ulokował ten kapitał.«

»Ulokowanie kapitału mało mnie obchodzi,« rzekł Jan, »ale wiele ulokowanie losu mego w łasce pewnéj pani matki, bo w serduszku panny Maryjanny już jestem; o, mój stryju kochany, z tysiąca wybrany, ja bez niéj żyć nie mogę! jużto przepadło, ja bez niéj żyć nie mogę.«

Pan Rawa wysłupił oczy, i całémi, széroko otwartémi patrzał na młodzieńca, długo milczał, w końcu rzekł: »*Quid hoc habet intelligere?* do sto Tatarów! gadajże waść, kiedy się pytam, i żądam objaśnienia téj historyi, która *Deus testis* ciemna jak nieszczęście, powiedz więc waść krótko, a węzłowato, dokąd nas prowadzi ta droga pokazana? a w tym dworze, dokąd podobno jedziemy, kto mieszka?«

»Powiém stryjowi prawdę, bo mnie serce bolało, żem kłamać musiał, ale Bóg świadkiem, nie mógłem inaczéj, i musiałem okłamać stryjaszka, ażebym go nakłonił do tego.«

»Do czego?«

»Żeby mnie stryjaszek oświadczył pani Malczewskiéj...«

»Pani Malczewskiéj? znam tę osobę, to dorzeczna pani; ma piękny majęteczek.«

»I piękniéjszą córeczkę, Maryjanna się zowie; a ja wierzaj mi stryju, żenić się z nią muszę, jeżeli mam żyć dłużéj na świecie.«

»Teraz się wydały waścine kabały, i intrygi wyszły na wierzch, jak oliwa... pstro w głowie u waści, fatygować mnie tak daleko i okłamać mnie, ażbym odbywał te podróże dla...«

»Ustalenia szczęścia wychowańca swojego.«

»Szczęście? nieszczęście? széroko o tém król Dawid pisał.«

»Jakże mój stryjaszku, mój kochany?«

»*Videbimus, videbimus.*«

»Ale bo ja umrę, jeżeli stryjaszek nie pojedzie ze mną do pani Malczewskiéj?«

»Pstro w głowie u waści powtarzam, jeszcześ za młody do ożenienia.«

»O mój stryju! jeżeli przeszkodzisz temu umrzemy oboje... ja i ona... o, ja wiém, ja wiém, Maryjanna mnie kocha tak, tak... jak ja ją kocham.«

»Jedźmy, jedźmy, służba nas podsłuchuje, w drodze pomyślemy o tém; to nie tak, jak się wam młodym zdaje; pokocha się, jużciby się i żenił, nie takto panie młody, nie... żona, mospanie, to towarzyszka dozgonna życia, nad tym wyborem potrzeba *poliberować*, zastanowić się rozważyć wszystkie okoliczności.«

Tak mówił pan Rawa, jadąc daléj drogą, która spuszczała się ku dolinie; w końcu zadał pytanie, na które odpowiedział Jan w następującym sposobie:

»Matka panny Maryjanny ma tę wioskę oto; bywałem tam częstym gościem bawiąc na wakacyjach u pana Wądolskiego, z którego synami na jednym byliśmy stole w Krakowie, od pana stryja miałem na to pozwolenie.«

»Ani słowa,« przemówił pan Rawa, »ale kiedym pozwalał waści jechać na wieś do pana Wądolskiego, nie było tam mowy wtenczas o pani Malczewskiéj, jak żywo, czegoś wasze ugaszczał w jéj domu?«

»Stało się, kochany stryju.«

»Źle się stało.«

»Więc trzeba to naprawić; a wszystkoto w stryjaszka mocy. Dopomóż mi stryju, zmiłuj się, dopomóż nam do szczęścia; wszystkie zawady już usunięte.«

»Jakie zawady?«

»Zawady były wielkie, panna Maryjanna jest dziedziczka wioski całéj, bo brat jéj zginął na Wołoszczyznie łońskiego lata na wojnie;

niestety! ona bogata, a ja ubogi byłem... Bawi tam we dworze ciotka panny Maryjanny, panna Malczewska, już nie młoda, rządzi całym domem, bo matka w wieku i słaba; otóż ta panna powiedziała mi wręcz, ażebym daremnie się nie uwodził nadzieją. Ale teraz, kiedy ks. kanonik zapisał mi 3,000 czerw. złot. zostałem takim bogaczem, więc zawady już nie ma i szczęśliwi będziemy, jeżeli tylko pan stryj nie sprzeciwi się temu.«

»Wszystkoto są nowe dla mnie rzeczy, po raz piérwszy je słyszę; *ergo* pomyśléć jeszcze muszę nad tym interessem.«

»Mysl mój stryju, myśl przez drogę; pojedziemy powoli, ażebyś do namysłu więcéj miał czasu.«

»*Videbimus, videbimus*; odpowiedział pan Rawa. Tym sposobem, i zawsze w jednéj materyi ciągnięta rozmowa przerwaną została wykrzykiem Jana, którego oczom odsłoniła się nagle krasna, pani Malczewskiéj wioska, i cała znana jemu i ukochana okolica.

Pan Rawa zatopiony był w myślach, i deliberował nad témi nowinami, które posłyszał. Skutkiem długiéj deliberacyi pana Rawy było to postanowienie, iż nad przedmiotem tak ważnym, dłużéj pomyśléć potrzeba. Lubo przyznawał, że nie widzi powodów niezezwolenia na takie postanowienie się młodziana, przecież dodawał tę uwagę, iż po dłuższym namyśle i głębszym rzeczy rozbiorze może dadzą się spostrzedź i obaczyć przecie jakie przeszkody? Majątek panny, urodzenie szlacheckie, afekta ich wzajemne, mówiły za tém, ażeby w tym punkcie postępować ostrożnie i z troskliwém oglądaniem się na wszystkie strony, bo pozory mylą człowieka, a w wypadku niniejszym wszystkie były pozory po temu, że zamęście pupilla z panną Malczewską ustanowi ich obopólne szczęście. Przypowiastka: co nagle to po diable, dorzuciła swoje ziarnko do tych uwag pana Rawy; wszakże kołysająca się szala nadziei młodzieńca, została w równowadze z troskami, ani wzięła górę nad niemi, ani je pokonała zupełnie.

»Dobrze,« rzekł stryj, »pojadę, wstąpię do pani Malczewskiéj; zacna to niewiasta, wiém, słyszałem nie dawno temu, że straciła syna, poległ na Wołoszczyznie w łońskiéj nieszczęśliwéj wyprawie; będzieto pretexcik niesienia condolencyi i consolacyi żałobnemu jéj sercu po stracie syna; zatém uczynię co żądasz, mój panie Janie, będę w jéj domu, i ażebym szczęścia twego dopełnił, o zamiarach zamężcia ani napomknę piérwéj, dopóki lepiéj i bliżéj nie poznam osobę, z którą w dozgonną przyjaźń wejść zapragnąłeś.«

Jan, ufając téj nadziei, że Maryjanna podobana jemu, spodoba się i stryjowi, widział już w tych słowach obietnicę pewną zezwolenia opiekuna, i rad przystawał na wszystko.

»Po raz piérwszy wstępując do domu pani Malczewskiéj,« mówił daléj stryj, »przystało wystąpić rządnie i strojnie, a nawet nie zawadzi zapytać się wprzódy, żali przyjmie goście? Jeżeli tedy jest jaka gospoda we wsi blizko dworu, tam zajedziemy, obleczemy się na czysto, inaczéj nie przystało.«

Jan uznał, że uwagi stryjowskie dobre były; na wzmiankę o uczynić się mającym zapytaniu poprzedniczém, żali przyjmą gości, zawołał radośnie: »Przyjmą! przyjmą! obaczy stryjaszek jak nas prosić będą, jak nam radzi będą.«

»*Videbimus, videbimus!*« odpowiedział pan Rawa. — Zajechali do gospody; pan Rawa w ciemię nie bity, zaczął pogadankę z Karczmarzem, jął się pytać z razu o urodzaje, o pogodzie zagadał, to o górach, aż z nienacka na inną przeszedł materyją, i wiele dowiedział się rzeczy, tyczących się domu, do którego udać się miał. Między innémi mówił gospodarz, że nie dawno temu przyszło pisanie z tureckich krajów; wiele sprawiło tam we dworze radości, ale i smutku wiele, bo młody pan Wojciech, syn pani Malczewskiéj, jedynak, nie zginął na Wołoszczyznie, jakto rozgłosili byli ludzie, ale żyw jest, w niewoli u Turka, pisał własnoręcznie do matki, ażeby się ulitowała nad nim, i przysłała pieniędzy na wykupno; ale Turek zażądał summy wielkiéj, więc dziedziczka zafrasowana wielce, po dniach całych płacze i lamentuje, bo na wykupno syna tak wielkich nié ma pieniędzy.

Po odejściu gospodarza Jan, pomyślawszy chwilkę, zawołał: »Stryjaszku! nie potrzeba nam teraz skarbnika, kapitalik ulokujemy.«

»Gdzie, u kogo? możebyś chciał...«

»Chcę, mój stryju! pragnę koniecznie tę summę po ks. kanoniku oddać pannie Maryjannie, a ona odeśle ją do ks. ks. Trinitarzy

do Kamieńca Podolskiego na wykupienie brata z niewoli.«

»Cóż znowu? kto szyszał o takiém ulokowaniu summy! Wioska ze wszystkiemi przyległościami niewarta może 3,000 cz. złot.; gdzież hypoteka?«

»W sercu Maryjanny.«

»Jakiż procent od kapitału?«

»W procencie wezmę sobie Maryjannę.«

»*Nihil erit ex inde, nihil*,« ozwał się pan Rawa, ale w końcu, po długiéj, bardzo długiéj deliberacyi, po prośbach i zaklinaniach Jana, wyrzekł te słowa: »*Videbimus*, *videbimus*.«

»Ale teraz,« mówił daléj pan Rawa, »pomyślemy nad tém, kogoby wysłać do dworu, i czyto nie wypada pisemnie się zgłosić.«

»Ja napiszę mój stryjaszku, ja napiszę do Maryjanny.«

»*Deus avertat!*« wpadł w słowo pan Rawa, »nie uchodzi; ja sam napiszę do pani Malczewskiéj, z listem poślemy Bazylego, człowiek nie głupi, umié się znaleść i sprawi się dobrze.«

Wziął się pan Rawa do pisania listu, a Bazyli, stary sługa, stał w progu i czekał, a wtenczas, kiedy Pan zajęty był pisaniem, sługa obejrzawszy się do koła, skinął na młodego Jana, i szeptał mu do ucha, aby na chwilkę odebrał od niego trzos z pieniądzmi, bo mu cięży bardzo, prosząc, by się nim opasał i chował przy sobie, dopokąd nie wróci, napominając i zalecając ostrożność, uwagę i milczenie, bo pan Rawa, gdyby się dowiedział... Dobry Jan przychylił się chętnie do téj prośby sługi; wyszli obadwa do przysionka, Bazyli odpiąwszy trzos, oddał go Janowi, który opasał go do koła ciała i pod czamarą ukrył.

List był gotowy, przywołany Bazyli odebrał go z tém poleceniem, ażeby szedł prosto do dworu wyraził uniżone służby pana Rawy i pana Jana, i wracał z odpowiedzią. Jan dodał swoją prośbę, ażeby wracał skoro jak może najprędzéj.

»Za chwilkę będę z powrotem,« rzekł Bazyli i odszedł.

Serce Jana biło tak niespokojnie; wesoły był, a przecież wesołość nie była wolną od niepokoju; całą wiarą ufał szczęściu, a przecież dusza tęskna umiała wynaleźć nie jedną myśl smutną, bo przyszłość, jako pączek róży, wtenczas nawet gdy już rozwija cudne swoje kwiecie, straszy tą myślą, ażali nie mieści w swojém łonie ukrytego robaczka, co ją toczy, a może i zniszczy.

II.

Przenoszę czytelnika do dworu pani Malczewskiéj. Dnia tegoż o godzinie poobiedniéj, w izbie sypialnéj, alkierzem nazwanéj, pani Malczewska, Krosny dziedziczka, zalégała łoże, na które spadał zielony kitajkowy, frendzlami nastrzępiony pawilon, oparta plecami o poduszki, wysoko podścielone pod głową, siedziała raczéj, niż leżała. Przy niéj niewiasta, już nie młoda, byłato panna Malczewska, siostra nieboszczyka Malczewskiego, a panny Maryjanny ciotka. U okna, nad krosienkami, siedziała osoba trzecia, zgrabnéj postaci, miléj i lubéj, ładna jéj twarzyczka, i świéża, nie miała alabastrowéj białości, panienkom w zamkniętych szklarniach wypieszczonym właściwéj, owszem na jéj twarzy i czole widziałbyś pieszczotę wiejskiego wiatru i słońca, jéj jagody rumieniły się samém zdrowiem. Czarnémi oczkami patrzała dusza łagodna i dobra, i słodki igrał niewinności uśmiéch, ciemne jéj włosy, gładko uczesane, od czoła rozdzielone na dwa pasma, zbiegając po skroni, obwijały się loczkiem w około drobnych uszek. Jéj ubranie było ciemne i skromne, tylko chusteczka weselszéj barwy, żółta i miękka obtulała się w koło szyi, i rada była zasłonić piersi dziewicze, sukienką niezasłonięte. Siedziała przy krosienkach, iglicę jedwabiem nawleczoną trzymając w paluszkach, które odsłonięte były od rękawiczki, zakrywającéj tylko połowę rączki, zdawała się nie zważać, co starsze szeptały, swoją zajęta robotką, schylona nad nią, czasami przerywając szycie, podniosła główkę i z oddali patrzała na dziełko swoje z upodobaniem i uśmiéchem. Niewiasty, szepczące do siebie, przerwały mowę po małym przestanku; ciotka powstała i zbliżała się do Maryjanny, która widząc nadchodzącą, nakryła krosienka.

»Proszę kogo,« rzekła ciotka, »radabym wiedziała, »dla czegoto ukrywa się panna Maryjanna z swoją robotą? hm, hm, jakiś sekret znowu; masz wiedzieć moja panienko, że panienka żadnych sekretów miéć nie powinna... to nie pięknie na panienkę.« Gdy Maryjanna na te słowa odpowiedzi nie dała, mówiła daléj ciotka: »Wiém ci wiém, coto za sekret, cyferkę assanna wyszywasz, i wiém jaką, ale jak mamę kocham, nic z tego nie będzie; twoje roboty--- pójdą za płoty; nie przystoi panience dobrze urodzonéj i wychowanéj wyszywać cyfry człowieka, który... o małom się nie wygadała.«

»O kimto mówisz moja ciociu kochana?« przemówiła Maryjanna.

»Nibyto nie wiész o kim! dowiész się, dowiész, daj teraz pokój tym ściegom; wyjdźno trochę do sadu; obiérają tam maliny, pójdź tam pójdź, i dopilnuj.« Maryjanna wyszła z izby, a ciotka skoro posłyszała skrzypienie drzwi drugich do ogrodu wiodących, przybiegła do pani Malczewskiéj, mówiąc szybkim głosem i piszczącym:

»No, poszła sobie przecie, teraz pani bratowa możemy już gadać, kiedy Maryjanny nié ma, chociaż Bóg wié, ja nie wiém, jak mamę kocham, nie wiém dla czegoto pani bratowa z tego wszystkiego jeszcze sekret robi; kiedy nie dziś, to jutro wydać się musi.«

»Dla biédnéj Maryjanny to czynię,« odrzekła pani Malczewska.

»Biédnéj? proszę uniżenie, śliczna mi biéda, miéć męża bogatego, zostać żoną starosty, panią Domaradową. Nie wiém, jak mamę kocham, dla czego pani bratowa ukrywa przed Maryjanną, że takie szczęście jéj się znaczy.«

»Bo to szczęście wiele jéj sprawi smutku i płaczu.«

»Bogdaj innego nie znałal jak powiadam, uspokoi się, uspokoi... kocha tego pana Jana, ale od czegoż rozum? proszę mi powiedziéć; otóż od tego, ażeby Maryjanna poznała, który lepszy, i pozna, a jeżeli nie dla siebie, to dla tego samego sprzeciwiać się nie będzie i pójdzie za Domarada, bo jako pani Domaradowa będzie mogła posłać tyle pieniędzy, ile potrzeba na wykupienie biédnego Wojciecha.«

»Syn mój kochany, dziécię moje!« westchnęła pani Malczewska. »O Boże! nie wypuszczaj go z swojéj opieki; pani siostra macie prawie, nié ma powodu zwlekać tę rzecz, Domarad nagli, a i ja bym rada ślub przyspieszyć, bo tém przyspieszy się może uwolnienie mojego syna z niewoli.«

»A co, nie mówiłam, że przyspieszę.«

»Proszę was, pani siostro, idźcie, przywołajcie tu Maryjannę, trzeba jéj powiedziéć; dobrato dziéwczyna, uczyni ofiarę z siebie, kocha brata tak czule, poświęci się dla brata, idźcie pani siostro, idźcie do Maryjanny mojéj biédnéj.«

»Znowu biédnéj! pani bratowo, przestalibyście już raz o tém mówić, jatobym mówić mogła i narzekać, że Maryjanna odbiéra mi konkurenta, boć wszystkim wiadomo, przed laty 15 pan Domarad bywał częstym gościem w domu nieboszczki matki mojéj, i nie chcę się tém chwalić, że myślał o mnie; ja się opiérałem wtenczas, myśląc, co się odwlecze, nie uciecze; odwlekło się i jakoś uciekło, i gdyby nie Maryjanna, co się spodobała teraz staroście...«

»Idźcie pani siostro do Maryjanny, nie mówcie jéj nic, ja sama jéj powiém.»

»Już dobrze, dobrze,« odrzekła ciotka wychodząc z izby zagniewana.

»Boże!« zawołała pani Malczewska, »dodaj dziecięciu mojemu tyle siły i mocy, ile jéj potrzeba w téj chwili; dla ratowania syna, poświęcać muszę córkę moją... wielkiéj żądam od niéj ofiary. Boże! niech się stanie twoja wola; tyś mi wskazał ten środek ratunku, może jest dobry, może i Maryjanna znajdzie w nim szczęście; z czasem przywiąże się do Domarada; mówią, że człowiek poczciwy i dobry... ale dzisiaj, ja się obawiam o nią, to ją wiele kosztować będzie.«

Wchodząca do izby ciotka, wraz z Maryjanną, zastały panią Malczewską w głębokiém pogrążoną dumaniu, dumała ona nad losem dzieci swoich.

»Mamunia moja kochana wołała mnie,« rzekła Maryjanna, przybiegając do łóżka, »otóż jestem na rozkaz; cóż mi powié mamunia moja droga?«

»Nie pytaj się Maryjanno,« przemówiła ciotka, »jeno słuchaj, co ci sama matka gadać będzie; dowiész się rzeczy takich, o których ani ci się śniło; słuchaj jeno, słuchaj.«

»Pozwólcie pani siostro,« rzekła pani Malczewska, »usiądź sobie przy mnie Maryniu, tu blizko, bo głos mój słaby.«

»Słucham ciebie matko miła.«

»Wiém o tém, że kochasz brata Wojciecha, biédny on nieszczęśliwy, jęczy dziś w niewoli tureckiéj.« Maryjanna na wzmiankę o bracie zapłakała. »Ten płacz dowodzi czułe serce twoje, lecz któraż siostra nie płacze nad nieszczęściem dobrego kochanego brata? płacz twój, równie jak i moje łzy, czyliż przyniosą mu ulgę w męczarniach? czyliż go wybawią z niewoli? i płakać nam tém rzewniéj, i tém więcéj przystoi, widząc niemożność naszą. Moja Maryjanno! spojrzyj mi w oko; powiedź, gdybyto w twojéj było mocy ratować brata, czylibyś go nie ratowała? powiedz!«

»Matko, jak możesz mnie się pytać o to?«

»Powiedz, powiedz, raz jeszcze wyraźnie!« wpadła w słowo ciotka, »chcesz go ratować? powiedz Maryjanno, jedno twoje słowo, a brat twój Wojciech będzie wykupiony z niewoli i jak odjechał tak wróci do domu.« Maryjanna na posłyszane te słowa, zwróciła spojrzenie na mówiącą, wyraz podziwienia malował się na jéj twarzy.

»Pozwólcie pani siostro mnie mowy,« przemówiła pani Malczewska, »bo Maryjanna jest córką moją, ja jéj matka, wiém co jéj powiedziéć mam. Maryjanno! drogie dziécię moje, wiadomo tobie, iż pieniędzy gotowych nié mam, wioska obciążona długami, mogęż zaciągnąć summę tak wielką? 3,000 czerw. złotych! wartość wioski przenosi summa taka, któżby mi takową pożyczył? więc nié mam innego sposobu i nie widzę innego ratunku, jak ten, że pójdziesz może za mąż za bogatego człowieka, który stawszy się członkiem naszéj rodziny, dopomoże nam biédnym w tém, w czém my rady sobie nie wiémy.«

»Cóż ty na to Maryjanno?« zapytała się ciotka, wpadając słowem swojém w tę przerwę rozmowy pani Malczewskiéj z córką.

»Ja nie pojmuję ciebie matko,« rzekła Maryjanna, »bo słyszałam o tém, że dobry mój Jan nie jest bogatym, nawet uboższym od nas; jakżeby mógł nam dopomódz w téj wielkiéj potrzebie?«

Pani Malczewska dotknięta tém przymówieniem się córki, rozrzewniona, mówić nie mogła, z czego korzystając ciotka, wpadła znowu z słowem swojém:

»Właśnie też dla tego,« rzekła, »a nie dla czego innego jak powiadam, za tego pana Jana iść nie możesz, ale potrzeba tobie szukać bogatego

kawalera, a chwalić Boga, trafia się tobie bogaty i bardzo, pan wielki, znasz go, bywa u nas od niejakiego czasu, i często bywa, a dzisiaj oświadczył się listem, i to o ciebie się oświadczył, nie zgadujesz kto, oto Domarad, starosta.«

»Wielki Boże!« wykrzyknęła przestraszona dziewczyna.

»Tak jest, nie inaczéj,« mówiła daléj ciotka, »stara się o twoją rękę pan Domarad; raduj się z tego: raz, że będziesz wielką panią, powtóre, że będąc wielką panią, będziesz mogła pomódz i bratu cierpiącemu. Od ciebie to zawisło, od ciebie, bo twojéj zostawiamy woli wybór męża, i nie chcemy ciebie przymuszać, ale jeżeli naszéj woli sprzeciwić się zechcesz, to i przymusiemy, jak mamę kocham, przymusiemy.«

»Przestańcie pani siostro,« ozwała się pani Malczewska, a wyciągając obiedwie ręce do córki, przyjęła w objęcie dziewczynę, łzami zalaną, i czule przycisnęła do serca swojego. Po dlugiém milczeniu przemówiła: »Uspokój się moje serce, uspokój; nie płacz, ja ciebie przymuszać nie będę, zostawiam to woli twojéj; weź tę rzecz do dłuższego namysłu, po namyśle wrócisz do mnie, i powiesz coś postanowiła.«

»Już postanowiłam, droga matko!« rzekła cichym zaledwie słyszanym głosem Maryjanna.

»Co postanowiłaś, co takiego? powiedz!« ozwała się ciotka, »powiedz śmiało, głośno i wyraźnie.« Gdy Maryjanna milczała, powtórzyła pytanie swoje ciotka niecierpliwa i ciekawa.

»O, matko droga! uraduj się, ja uratuję Wojciecha, i z niewoli go wybawię.«

»Jeżeli tak zrobisz, każdy powie, żeś dobra siostra,« rzekła ciotka.

»Uratuję go, wierzaj mi matko, ja wyratuję Wojciecha; wróci do ciebie, będziesz spokojna i szczęśliwa.«

»O najdroższa moja Maryniu!« zawołała matka, łzy lejąc ściskała córkę swoją.

»Więc nié ma co odwlekać,« rzekła znowu ciotka, »na list pana starosty ja odpiszę; albo Maryjanno ty napisz, ty sama... będzie pewny, iż dobrowolnie zezwalasz na śluby z nim.«

»Ja zezwalam?... przerwała Maryjanna, »nie, nigdy!«

»Co słyszę!!!« wykrzykła ciotka.

»Nie mogę. Jan pozyskał to serce moje, wiecznie mu je dochować poprzysięgłam; krzywo przysięgłabym, gdybym dzisiaj ślubowała innemu.«

»Gwałtu co słyszę,« zawołała ciotka, a matka milcząca patrzała na córkę niespokojną twarzą i zadziwioną.

»Dozwólcie,« przemówiła Maryjanna, »aby Jan został moim na zawsze; natenczas ja i on zbierzemy pieniędzy, ile potrzeba na drogę do tureckich krajów, pojedziemy oboje, przyjmiemy służbę u Turka, na miejscu Wojciecha, którego tym sposobem wybawiemy z niewoli.«

»Matko wielkiego miłosierdzia!« zawołała ciotka, jak mamę kocham, pomieszało się jéj w głowie i nie więcéj, od rzeczy gada. Maryjanno, czyś oszalała z taką mową; kto słyszał?...«

»Dozwólcie,« rzekła powolnym głosem matka, a obracając się do Maryjanny mówiła w ten sposób: »Zadziwia mnie ta mowa twoja Maryniu i bardzo, bo mówiąc o tém zapomniałaś widzę, że ja matka wasza, równą miłością kocham was dzieci moje; tracąc ciebie, czyliżbym nie płakała tyle, co teraz płaczę za bratem twoim? prawdaż to Maryniu, tak mało mnie miłujesz, żebyś mnie opuścić mogła, i chciała. Maryniu! czyliż nie żałujesz słów tych powiedzianych?«

»Przebacz, przebacz mnie matko, ja nie wiém co mówię; straciłam rozum mój wszystek... rób ze mną, co ci się podoba; ja nie mam ani pojęcia, ani rozumu, ani woli nié mam.«

Ciotka, słysząc tę mowę, rada była migami poddać pani Malczewskiéj radę mądrą, ażeby korzystając z téj chwili, i z tego usposobienia córki, nakłoniła ją do życzeń swoich, ale daremne były jéj zabiegi i skinienia, bo matce przykro i boleśno, rozdzierać serce dziecięcia swojego, i otworzyła usta jedynie, aby niespokojną utulić Maryjannę. W końcu przyrzekając, że nie wspomni jéj nawet o Domaradzie, dodała: »Zotawmy to czasowi i Bogu, który łaską swoją przenajświętszą przybędzie nam nieszczęśliwym w pomoc, i podda może inny środek ratowania Wojciecha.«

Ale pani ciotka nie była kontenta z tego, i zaręczała na swoje: jak mamę kocham, że nie widziała nic podobnego, ani słyszała o takim córki uporze i takiém pobłażaniu matczyném.

(Dokończenie nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

Wybity został w Berlinie medal koronacyjny, bardzo piękny. Strona główna: Męzkie popiersie w wieńcu wawrzynowym, z za którego występuje popiersie niewieście, z napisem w około idacym: *Ferdinandus I. et Anna, Austriae Imperatores pii felices*; pod spodem: *G. Looś dir. L. Held fec.* Strona odwrotna: Na podłodze jest stół, nakryty do ziemi dywanem frandzlami bramowanym, na którym obraz lwa dwuogonnego postrzega się; na stole leży poduszka, galonami i frandzlami obwiedziona z czterymi kutasami, na któréj umieszczona korona, jabłko z krzyżem i miecz z berłem na krzyż położone, nad tym w półłuku napis: *Votis fid. perp. accept. Reges Bohem. sollem. coron.* U spodu w odcinku: *Pragae mense Sept. MDCCCXXXVI.* *A.*

W Lipsku w księgarni Breitkopfa i Härtla wyjdzie trzeci oddział bibljoteki kieszonkowéj *Klassyków polskich*, staraniem wydawcy J. N. Bobrowicza. Oddział ten zawiéra pisma wierszem i prozą Józefa Szymanowskiego, poezyje Kajetana Węgierskiego, sielanki i inne pisma Jana Gawińskiego, Szymona Szymonowicza, poezyje Elżbiéty Drużbackiéj, dziś bardzo rzadkie, a po większéj

części małoznane dzieła Fr. D. Kniaźnina. Do tego dołączają się portrety autorów i ich bijografije.

Na posiedzeniu angielskiego towarzystwa uczonych w Bristolu, zajęły nadzwyczajnie uwagę wszystkich, postrzeżenia pana Cross w wydziale jeologii i jeografii. Uczony ten oznajmił, iż od dawna zajęty sposobem uzyskania ruchu elektrycznego, ile możności długo trwającego, nieprzerwanego i niezmniejszającego się, wymyślił nareszcie aparat, który temu zamiarowi jak najzupełniéj przez cały rok odpowiedział; siłą zaś ruch wydającą jest w aparacie li tylko czysta woda. Wniósł on z tego, że gdy natura wiele przez nas uważanych działań odbywa sposobami (procesami) powolnémi, czyli długo trwającémi, a przeto moglibyśmy tworzyć substancyje podobne tym, których ona do swoich utworów używa. Zwrócił on swoją uwagę na jednę z jaskiń w pagórkach Quantock, w któréj znalazł inkrustacyję selenitu wapnistego w kamieniu wapiennym (selenit wapnisty skorupą kamienia wapiennego obwleczony), arragonit zaś w pokładach gliny, któreto utwory powstały widocznie z wody przesączającéj się przez zasklep kamienny jaskini. Wziął on nieco téj wody z sobą do domu i poddał ją działaniu swego aparatu *volty;* przez dziewięć dni oczekiwał trwożliwie wypadku, ale gdy się nic nie pokazało, miał już zaniechać doświadczenia, aż oto dziesiątego dnia ujrzał z największą radością tworzący się kruszec podobny zupełnie do tego, który natura w jaskini utworzyła. Robił tedy dalsze doświadczenia, z których doszedł, że światło jest na zawadzie tworzeniu się kryształów, i że w krótszym czasie i z słabszą elektrycznością można je w ciemności uzyskać. I tak potworzył on różne kryształy z kruszców metalicznych, a najświetniéjszym jego doświadczeń wypadkiem, było utworzenie kwarcu z kwasu flusspatowego; jestto tworczy postęp przyrody, któremu się oko ludzkie po raz piérwszy dopiero przypatrzyć mogło. Nie podobna opisać zapału, jaki to doświadczenie obudziło w nader licznie zebranych słuchaczach.

Zdaje się, iż sztuka balsamowania stanęła w tych czasach na szczycie doskonałości. Podczas ostatniéj wystawy przemysłowéj w Paryżu, dwóch chemików, z których jeden lekarzem, drugi aptékarzem, wystawiło na widok publiczny w sali konserwatoryjum doskonale utrzymaną mumiję. Środki, których do tego używali, są zupełnie nowe, ponieważ ta, już prawie od lat dziesięciu sporządzona mumija ani zczerniała, ani się w niekształtną zmieniła, jak się z egipskiemi zwykle dzieje; nie jest ona żadnémi okrępowana taśmami, ani też pozbawiona wnętrzności; przeciwnie okazuje wyraz życia, ponieważ wszystkie rysy są niezmienione, skóra naturalnéj barwy, a wszystkie muskuły, żyły nawet, pełne i na swojém miejscu. Żadna zawiązka i żadne zewnętrzne przysposobienie nie daje się spostrzedź na skórze, ani zmienia kształtu ciała; a co podziwu najgodniéjsze, iż serce, płuca, wątroba, słowem wszystkie wnętrzności, mózg nawet, tak łatwo zepsuciu podpadające, są bez wszelkiéj zmiany utrzymane. Wynalazcy téj sztuki wiele już podobnych mumii przysposobili, którym czas zupełnie szkodzić nie zdoła; zdaje się nawet, iż przezto zyskują, ponieważ czém dawniéjsze, tém więcéj wyschnięte, a zatém w każdéj powietrza zmianie, w suszy lub wilgoci, w piwnicy lub w ogrzanym pokoju przechować się dają bez uszkodzenia.

Profesorowi Cassala w Neapolu udało się gas wodorodny i kwasoród, w tym stosunku, w jakim zamienia się w wodę, zmieszać razem, i bez niebezpieczeństwa wybuchu używać do oświecania, za pomocą rozżarzonego wapna. Gazy te prowadzą się przez rurę kapilarną, a spływając na kawałek wapna, do tego stopnia rozgrzewają je, że jak dzień jaśne światło wydaje. Siedm takowych latarni dostateczne są na trzy włoskie mile takie dać światło, że można czytać i kolory rozeznawać. Teraz, po powrocie króla, sposób ten oświecania nie tylko w Neapolu, ale i w innych portach królestwa zaprowadzonym zostanie. Koszt o trzecią tylko część jest większy, niż w oświécaniu olejem, lecz światło dwadzieścia razy jest mocniejsze.

Dziennik z Mnichowa robi następną uwagę: Gazety są podobne do dni naszego życia, których też zdarzenia i czyny ogłaszają. Za zjawieniem się dzisiejszéj, zapominamy o treści wczorajszéj; wszak i dzień wczorajszy zaginął w dniu dzisiejszym, jak giną fale, z których jedna drugą chowa. Z ciekawością czytamy gazetę świéżą, bawi nas, bo nam nowiny objawia; jutro spoglądamy na nią z obojętnością. W podobném złudzeniu dzień po dniu upływa; każdy dzień ma innę nazwę, chociaż w istocie wszystkie są zawsze dni te same; ich skonanie jest wiecznem zaczęciem!

Na teatrze *Vaudeville* w Paryżu pojawiła się sztuka wielkich sukcesów; jéj tytuł: *Brat Pirona.* Jestto krotochwila *(folie dramatique)*, ale pełna dowcipu, humoru i komicznych wypadków. Musztardnik, brat Pirona, jest miany za autora; chcąc nie chcąc, jest zniewolony wpisać się na członka towarzystwa przyjaciół nauk; ztąd powstaje komiczność położenia. Przedmiot jest arcyzabawny, misternie prowadzony, przedziwnie oddany, gromem oklasków uwieńczony. Autorowie są pp. Locroi i Arnauld. — Obok téj krotochwili pojawił się także dramat, pod nazwą: *A dix-sept ans*, i miał nie małe powodzenie; wchodzą weń jeden na pół uduszony, dwa krwawe pojedynki, dwa zatrucia, czworo konających płci obojéj — i czegoż więcej trzeba, aby ciekawym gawronom zadość uczynić?

Dzienniki paryzkie opisują przyjęcie sławnego malarza Horacego Werneta w Petersburgu, który znowu do Paryża powrócił. Rossyjski monarcha umiał nagrodzić artystę za to, że stolicę carów przeniósł nad inne stołeczne miasta Europy. Pomiędzy innémi prezentami wymieniają zbrój oryjentalną drogiemi kamieniami wykładaną. Znajdowała się ona w muzeum Carskiego Sioła. P. Wernet miał za 300,000 rubli obstalunku. Wreszcie p. Wernet nie jest piérwszy artysta francuzki, który w tak wysoki sposób znalazł zachęcenie w Rossyi. Malarz scen morskich p. Tanneur, który podobnież darami był zaszczycony, otrzymał polecenie malowania wiele portów rossyjskich, za co mu 150,000 rubli wypłacono.

Podług zapewnień dzienników francuzkich niejaki Huart miał wynaléźć sposób zasiewać łyse głowy najrzęsistszémi włosy. *Temps*, mówiąc o tém, w ten się sposób wyraża: »Wiemy, iż wielu niewiernych znajdzie zapewnienie nasze, ale i nieśmiertelny Jenner długo czekał na to, aż się przekonano, że szczepienie krowiéj ospy, nie jest złudą, ale rzeczywistą prawdą ku dobru ludzkości.« Inne zaś pismo tak mówi: Stolica Francyi przechowuje na ulicy *Vivienne* N. 4. nowego dobroczyńcę ludzkości; dzięki wynalazkowi pana Huarta, dzięki cudom chemii, że odtąd już ani na łyse głowy, ani na gołowąsów patrzyć nie będziem. Ileżto starych małżonków po kąpielach pomocy szukających nie pospieszy po to cudowne w czterech tygodniach odmładniające *arcanum;* ileżto peruk w świątyni Hygei na wieczną pamiątkę zawieszonych nie będzie; ileżto głów oswobodzonych od tych niemiłych futerałów, świéżém porostem ukiędzierzawionych, nie pospieszy w ramiona swoich z zadziwienia osłupiałych małżonek i nie przebudzi w nich owych słodkich snów lat rozkoszy pełnych, któremi uszczęśliwione były. Dla młodych poruczników od huzarów wybiła godzina zbawienia; już nie będą przemocą wydobywać i zakręcać ledwie zasiany meszek, bo hojnie i obficie tryśnie ich ozdoba; a owi zestarzali kobietkowicze, którym wprawdzie wiek brwi pobielił, ale bynajmniéj

skrzydeł miłości nie osmalił, nie będą nas po promenadach straszyć postaciami z komina wylazłych kominiarzy.

Pewien matematyk obliczył, iż wszelka ilość ludzi, mieszkająca na naszéj Ziemi, mogłaby zająć miejsce nie większe jak okrąg miasta Paryża. Przedstawmy sobie tuż przy sobie postawioną ludność Ziemi, nie wynoszącą spełna miliarda (1000,000,000) osób, z których każda zajmuje pół stopy kwadratowej miejsca, a ta liczna ludzi rodzina nie zajmie więcéj nad 47,065 stóp kwadratowych, to jest: 4 1/2 mil kwadratowych.

Pewien aptekarz we Francyi odkrył sposób nadający białość żołniérskiemu chlebowi; tak jednakże niekosztowny, że racyja (1 1/2 funta) nic wynosi więcéj jak zwyczajną cenę (7 1/2 cent.). W obecności pana Boissy d'Auglas, naczelnika żywności w wojsku, odbył wynalazca próby, które nic do życzenia nie pozostawiają; chleb jest i biały i najlepszego smaku. Rząd znaczną ma dać wynalazcy nagrodę za udzielenie tajemnicy.

Zdarzyło się w Londynie, że jakiś dobrze obrany jegomość wszedł do najpierwszéj oberży i rozkazał sobie dać wyborny obiad. Po drugiéj butelce szampana zjawił się komisarz policyi ze strażą i zapytał smakosza, czyliby się Thomson nie nazywał, a gdy tenże to zapytanie potwierdził, zawołano fiakra, i rozkazano mu, aby wprost do *Bowstreet* (bióra policyi) jechał; oberzyście zaś powiedziano, aby się z rachunkiem Thomsona natychmiast za nimi udał. Jakże się tenże zdziwił, kiedy przyszedłszy do bióra policyi, nie znalazł ani Thomsona, ani komisarza; za póżno spostrzegł, iż to byli dwaj oszuści, jakich w Londynie nie mało się znajduje!

W Londynie urządzono dwie nocne gospody, czyli schronienia dla najniższéj klassy ludu. W nichto co wieczora wielka liczba ludzi szuka przytułku, dla przepędzenia nocy lepiéj, niż pod gołém niebem. Koło 7méj godziny schodzą się do tych gospod ubodzy, a liczba ich tak bywa wielką, że nie raz miejsca nie ma na pomieszczenie onych. Dla wszystkich przysposabiają łoża ze słomy, którą odmieniają codzień; ci co piérwéj przychodzą zajmują framugi, znajdujące się wokoło sali. Ażeby największa liczba pomieścić się mogła, jedni kładą się bardzo blizko drugich. Najdoroślejszym najpierwéj ścielą, u nóg ich kładą dzieci, które w długich liniach ciągną się przez salę. Pomiędzy rzędami utworzonemi przez dzieci zostają wązkie miejsca, które zaściełają się słomą dla tych, co na ostatku przychodzą, a ci w ten sposób się kładą, że nogi jednego dotykają głowy sąsiada. Wszyscy, którzy w tych gospodach nocują, dostają rano i w wieczór pół funta chleba, i wody do mycia, ręczniki zaś w dostatecznéj ilości wiszą na podwórzu; ale ci nieszczęśliwi tak wielki mają wstręt od swiéżej wody, że jakkolwiek są zgłodnieni, wolą raczéj pójść spać o głodzie, niż się do umycia skłonić. W zimie sala ogrzana jest wielkiemi piecami, przewietrzana, aby ściśnięte powietrze najmniéj mogło szkodzić zdrowiu. Oprócz tych dwóch sal są jeszcze inne dla kobiet, których liczba nie bywa tak wielką, jak mężczyzn.

W hrabstwie Essex podana została angielskiemu parlamentowi przez niezamężne kobiety petycyja, o zniesienie coelibatu mężczyzn. Proszą one o wydanie bilu, aby każdy zakamieniały, wdziękami kobiety niewzruszony, 26 lat mający mężczyzna, jeżeli ważnych przyczyn swego nieożenienia się nie przywiedzie, na karę pieniężną był wskazany, i aby, jeżeli rokiem póżniéj jeszcze się nie zaślubi, jako niepożyteczny członek towarzystwa z kraju wygnanym został. W dodatku domagają się także, aby każdy, 30 lat mający bezżenny, głoskami O. B. *(olo-bacheler,* stary bachur) na czole był piętnowanym. Z powodu tego zażalenia, jak mówią, starzy bezżency w wielkim zostają kłopocie.

Pewien podróżujący opowiada: »W Aleppo zwiedziliśmy szpital kotów. Nie żartuję. Mohamed miał ulubioną kotkę, która pewnego razu w jego rękawie młode porodziła. Mahomed, aby kotce nie przeszkodzić, odciął rękaw, i zostawił go z nią na łożysku; ztąd pochodzi, iż Muzułmani wielką cześć mają dla kotów. W Aleppo wystawiono im szpital, w którym wszystkie razem z litości prawowiernych mają utrzymanie. Jeżeli kto umrze i zostawi kotkę, o któréj los dalszy mocno się troszcze, oddaje ją do tego szpitalu. Podczas moich odwiédzin znajdowało się tamże do 500 sztuk kociego narodu.

Paliugenesia czyli dusza roślin. Już od dawnych czasów kwitnęła między alchemikami ta nadzwyczajna sztuka wskrzeszania roślin z ich popiołów, zamkniętych w flaszeczkach ważkich, pod które dawano ciepło, poczém zaczęła rozwijać się roślina, i wzrastała zupełnie do naturalnéj wielkości, ale znowu w popiół się rozsypała, skoro ciepło usuniętém zostało. Co większa, raki nawet, w moździerzach potłuczone, miały się tym sposobem w swojéj naturalnéj postaci okazywać. Zaręczają to Duchesne, lekarz Henryka IV., i Declaves; a cesarz Ferdynand II. miał tę tajemnicę za wysoką cenę kupić. Baber mówi: »Sławny lekarz Quercetauns opowiada szczególne zdarzenie o polskim lekarzu, który mu kilkanaście szczelnie zamkniętych flaszek z różnemi roślinami pokazywał. Z początku nie widziano w nich nic więcéj, jak tylko kupkę popiołu; jeżeli zaś mierne ciepło pod niemi rozniecono, zaraz z popiołu wytrysł obraz rośliny, pręcik wzrósł do zwyczajnéj wielkości, liść i kwiat zupełną wzięły barwę i kształt prawdziwéj rośliny. Skoro zaś ciepło usuniętém zostało, flaszeczka powoli oziębła, roślina zwolna opadła, i nakoniec w popiół się zamieniła. To można było według upodobania kilkakrotnie powtarzać.«

Wdzięczność rzadkiego rodzaju. Pewnemu lekarzowi w Paryżu skradziono zegarek w natłoku. Nie postrzegłszy tego szedł daléj swoją drogą. Nagle staje przed nim jakiś człowiek, pytając go, czyby on był tym lekarzem, który w szpitalu N. koło chorych ma staranie? Gdy mu to potwierdził, ów nieznajomy mówił daléj: »Uleczyleś mię panie z ciężkiéj choroby, jestem tobie życie moje winien. Teraz przyszedł dla mnie czas wywdzięczenia się; przed pięcią minutami skradłem ci zegarek, oto jest, oddaję go panu!« To mówiąc zniknął w tłumie, i zostawił lekarza zdumiałego na ten nowy sposób wywdzięczenia się.

Niech wierzy kto chce. Dziennik lipski zawiéra co następuje: Chociaż August, król polski najdzielniéjszych miał strzelców w swoim orszaku, przecież Fryderyk Wilhelm wygrał w tym względzie zakład. August miał strzelca tak celnego, iż mu nikt zrównać nie zdołał. Fryderyk podobnież miał porucznika artyleryi, imieniem Brint, którego nikt jeszcze w strzelaniu do celu nie zwyciężył. Strzelec Augusta potrafił na 400 kroków trzy razy, raz po razu, tak wystrzelić do wystawionego słupa, że żadna z kul ani na włos daléj obok drugiéj nie utkwiła. Brint toż samo podołał, i jeszcze więcéj; bo utkwił w tem samém oddaleniu szpadę, i wystrzelił trzy kul, jedną po drugiéj tak, iż ostrzę szpady wszystkie trzy w równe połowy rozcięło. Nadaremnie starał się saski strzelec zrównać w tém pruskiemu!

Popioł, przydomek Lobkowiczów. Jedna gałąź starożytnego, znakomitego domu Lobkowiczów, zasługami obywatelskiemi od wieków słynąca w czeskiéj ziemi, czcząc zwyczaj jednego z praszczurów swoich, iż zawsze popiół, jako znamię znikomości człowieka, przy sobie nosił, przyjęła popiół za swój przydomek; od którego to czasu, każdy z tego rodu idący *Popel de Lobkowicz* przybiera miano.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.